

Zatopione w sepii

*gdy byłam dzieckiem
kochałam kolor nieba i wody
w słoneczny dzień
barwę marzeń i przestworzy
spadały kartki z kalendarza
żółkły fotografie
błękit zmieniał się w sepię
dorosłam do jesieni
teraz tylko wnuk
przypomina o błękitcie
kiedy mówi
niebieski to mój ulubiony kolor
i zawiązuje mi na szyi
apaszkę lazuruowych ramion*

Zaczęłam nietypowo, bo naszła mnie melancholia. Może to wiosna, gdyż słoneczko rozświetliło świat i niebo wreszcie nabrało tej właściwej, lazuruowej barwy, a może ciągnie mnie do zagłębiania się w rodzinne odmęty. W pewnym wieku chyba tak jest, że coraz mocniej czuje się więzi rodzinne. I to zarówno ze zstępnyymi, jak i wstępnyymi. Więź z wnukami podobno jest czymś nieuniknionym i naturalnym.

Myślę, że kontynuuję jedynie uczucie, którym obdarzyła mnie babcia. Dzięki jej miłości nauczyłam się, iż pomiędzy babcią a wnukami może być szczególne porozumienie i więź niepodobna do żadnej innej. Niewątpliwie w dużej mierze właśnie jej zawdzięczam to, kim

teraz jestem... Żałuję, że nie znaliście mojej babci. Była najpiękniejszą na świecie starszą damą, z pomarszczoną jak jabłko twarzą. Miękką, różową i ciepłą. Przypominała mi złotą renetę zapomnianą na półce, w sianie, przed Bożym Narodzeniem. Jej wnętrze było młode i świeże. Miała w sobie też mnóstwo dystansu i powagi. Na świat patrzyła z lekkim przymrużeniem oka, gotowa zażartować, gdy absurdalność ówczesnego życia była nie do zniesienia. Do końca życia pozostała młodą, bardzo mądrą kobietą, choć... Dziś chciałabym zacząć Wam ją przedstawiać. Swoje dzieciństwo wspominam jako pasmo radości, przetykanej barwnymi opowieściami o przodkach. Pamiętam, że w wielbiałam wieczory, kiedy siadałyśmy z babcią w kuchni przy szklance herbaty. Takiej gotującej się jeszcze w brzuchu. Tylko taką babcia Mania tolerowała. Pod węglową kuchnią trzaskał ogień, a w duchówce piekły się balabuchy. Całe mieszkanie wypełniał zapach konfitury z róży i drożdżowego ciasta. Pod piecem, na wytartej farbie podłogi, przy metalowej płycie, na której stała stara węglarka, tańczyły pomarańczowe cienie płomieni. Jeszcze do dziś pamiętam morski odcień kafli i mosiężną rurkę okalającą rozgrzaną płytę, na której wisiały ścierki. Gdy ktoś przechodził obok, falowały. Często wyobrażałam sobie, że są to żagle na powierzchni morza. Za oknem wieczór otulał ogród, a ja z otwartą buzią słuchałam i słuchałam... Czasem babcia spowita była w żółty szlafrok z błękitnymi różami. Ten, który szyła podobno przez dziesięć lat i dopiero moja mama go skończyła. Na głowie miała srebrne ślimaczki rzadkich włosów, spięte na krzyż wsuwkami, aby rano pięknie prezentować się w pobliskiej mleczarni. Na ślimaczkach rozpięta była biała siateczka. To zabezpieczenie przed ich ewentualną niesubordynacją. Na półce cicho szumiało radio z zielonym oczkiem. Może to był koncert życzeń, a może wiadomości. Kociołek z wodą wzdychał małymi chmurkami pary. Uf, uf... Ciepło, cicho, tajemniczo. I płynęły opowieści...

Mania, Manusia

Manusia była o trzy lata starsza od Alberta. Oboje z czarnymi włosami, po ojcu Walterze Rosmany, urzędniku, a może nawet zawiadowcy z dworca kolejowego we Lwowie, i jasną, świetlistą cerą, po matce Annie lub Zofii. Jedna z sióstr bliźniaczek zmarła w czasie zarazy i została pochowana na Łyczakowie. Nikt z rodziny nie wiedział, która z bliźniaczek pozostała przy życiu.

Szli ulicami Lwowa i szukali ojca. Mania miała już dość chorującej mamy i Antosi, która pełniła rolę opiekunki, służącej, pokojówki oraz gospodyni. Ciągle jej coś kazała, ciągle na nic nie pozwalała i twierdziła, że „to panience nie wypada”. Zazdrościła innym dzieciom, że mają ojca. Mania niewiele pamiętała swojego. Zmarł niedługo po przyjsciu na świat Alberta. A mama od tamtej pory rzadko podnosiła się z łóżka. Po kwadransie doszli do skrzyżowania. Wreszcie dotarli do celu wyprawy!

Był! Siedział na białym koniu, w ciemnym mundurze, ze złotymi guzikami. Kandydat do ręki Anny! Tak sobie obmyśliła. Lubiła konie i mundury.

– Taki ważny człowiek. Wszyscy przed nim czują respekt! – pomyślała.

– Chodź, nie bój się! – Nieśmiało pociągnęła brata

Mężczyzna, zajęty swoimi myślami, nie zauważył dzieci. Dopiero nieśmiało pociągnięcie za rękaw uzmysłowiło mu, że podeszła do niego dwójka malców.

– Gdzie wasza matka? Z kim jesteście? Zejdźcie z jezdni, bo może was przejechać dorożka! – zaniepokoił się zachowaniem Alberta i Maniusi.

– Zgubiliśmy się. Proszę nas odprowadzić do domu. Mieszkamy na Szeptyckich! – nieśmiało realizowała długo obmyślany plan.

Za kwadrans z dumą jechała na białym koniu, mocno obejmując brata, aby nie spadł. Bała się wysokości i tego, co powie mama. Od Antosi z pewnością otrzyma reprimendę i będzie musiała długo klęczeć w kącie. Aż zrozumie, ile matce zrobiła wstydu. I jaki wywołała skandal! Kto to widział, aby dzieci same chodziły po ulicach i zostały przywiezione przez policmajstra? Nawet oficera! Nie udał się plan zdobycia ojca. Matka pozostała wierna swojemu zmarłemu, o dwadzieścia siedem lat starszemu mężowi. Mimo iż wychodząc za mąż miała jedynie trzynaście lat.

A teraz przedstawiam Wam inną Manię, a w zasadzie babcię Marię Szymańską. Oto pierwsze wspomnienie, które drzemie gdzieś najdalej, na dnie szuflady mojej pamięci.

Przechowuję je z niesłychaną starannością. Jest jak bezcenny eksponat, w najlepiej strzeżonym muzeum świata. Odgrzebuję bardzo rzadko. Delikatnie wyciągam tę najdroższą pamiątkę. Boję się ją uszkodzić. Jest delikatna jak pajęczyna. W końcu przygnieciona została całym półwieczem. Mimo że zakurzona, jest prawdziwym klejnotem, chociaż tak archaicznym i wątłym. Ma wyblakłe barwy. Nieostre kontury ledwie nakreślają atmosferę. Zostało już tylko echo słów, ślad nastroju, a jednak tak porusza serce. . . .

Mam dwa, może dwa i pół roku. Wychodzę na spacer. Stoję w przedpokoju. Ogromne, oszklone drzwi jak pryzmat rozszczepiają jasne smugi światła, wpadające do mrocznego wnętrza. Drobinki kurzu tańczą walca na słonecznych kładkach. Obserwuję je z zachwytem! Nagle pryska balowy nastrój. Zwodzone mosty znikają, bo otwierają się drzwi pokoju i wpada cała rzeka światła. Wchodzi wysoka, smukła kobieta, w jasnym kapeluszu i tweedowym, piaskowym kostiumie. Obcasy i rękawiczki dopełniają obrazu.

– Dzidziusiu, idziemy zanieść dziadziowi śniadanie! – mówi stanowczym tonem i podaje mi rękę.

I już nie są ważne smugi, kolory.

– Idę do dziadzia Szymka! Idę razem z babcią! – śpiewa moja dziecięca dusza.

Kolejne wspomnienie nierozzerwalnie łączy się z poprzednim.

Niski pokój wypełnia duże biurko, stojące ukosem pod ogromnym oknem. Za biurkiem siedzi brunet w garniturze i jasnej koszuli.

Gdy wchodzimy, podrywa się i podbiega do nas. Chwyta mnie pod pachy i unosi prawie pod sufit. Niesamowite wrażenie lotu i dziwnych łaskotek w brzuchu wypełnia całe moje ciało. I tak parę razy. Aż piszczę z zachwytu! Wreszcie ląduję na blacie biurka i mogę piętami postukać w drzwiczki oraz posłuchać, czy w środku nadal mieszka biurkowy potwór, wydający głuchy odgłos.

– Będziemy jeść śniadanko! – słyszę głos dziadka, zaglądnącego do koszyczka z jedzeniem.

– Maniusiu! Tyle razy prosiłem cię, abyś i dla dziecka coś przynosiła. – Tym razem niezadowolenie wyraźnie skierowane było ku małżonce.

– Kotusiu, przecież Działka jadła śniadanie! – z oburzeniem odpowiada Manusia.

– Dziadziusiu, Działka dzisiaj nic nie jadła! – zeznają jak Judasz i w podkówkę wyginam usta.

Dziadek Szymek zaczyna ruszać wąsami, co znaczy, że jest w stanie skrajnego zdenerwowania, po czym dzieli się ze mną swoim śniadaniem.

– Żeby mi to było po raz ostatni! – zwraca się do Marii. – Jadła, nie jadła, czy to nie wszystko jedno? Powinnaś przynosić i dla niej śniadanie.

I tak zostało. Dzięki Szymka słabości do wygiętych dziecięcych podkówek od tej pory jadłam podwójne śniadania. To, wraz z innymi okolicznościami, o których jeszcze nie raz wspomnę, dało początek wielu moim kłopotom. Ale tego dziadek nie przewidział. Miałam pisać o Marii, a dziwnym trafem zahaczyłam o Szymka, czyli drugą połówkę jabłka. Okręciłam go sobie wokół małego, tłustego paluszka. Jego pracownicy posyłali po mnie, jak po cudowny lek, gdy Pan

Kierownik był w wyjątkowo złym humorze. I pomagało. Na razie jednak wróć do Marii, czy też Mani, Mańki, Maniusi, albo Marysi. Aby zrozumieć Marię, trzeba opowiedzieć o jej dzieciństwie, spędzonym bez ojca i w zasadzie bez matki, albo z jej cieniem snującym się po mieszkaniu, schorowanym i słabym.

Anna, z domu Szpala, miała trzynaście lat, gdy wyszła za mąż za urzędnika kolejowego, Waltera Rosmanyi. Bardzo szybko owdowiała.

Będąca jeszcze dzieckiem, musiała szybko stać się matką i panią domu. Życie nie oszczędziło tej delikatnej, eterycznej blondyneczki.

W wychowaniu Mani i Alberta pomagała Annie Antosia i kucharka.

W zasadzie jednak to Antosia matkowała dzieciom i starała się wychowywać je, jak najlepiej potrafiła. Anna nie miała na to siły.

Nic dziwnego, że Albert jako nastolatek uciekł z domu, aby zaznać przygody. W domu, gdzie dominował zapach leków, kamfory i kropli walerianowych, czuł się stłamszony. Smutek i cierpienie wylegiwało się w każdym zakamarku. Weselej było w kuchni, ale im byli starsi, tym częściej wyganiano ich na pokoje, bo nie wypada, aby panicz i panienska przebywali w towarzystwie kuchty. Albert uciekł, aby walczyć za Lwów. Stał się jednym z Orłąt. Wyszedł z domu jako mały, pękaty chłopczyk. Gdy wrócił, popatrzył na Manię z góry i powiedział:

– Strach Mańka, jakaś ty mała!

Anna zmarła przed Bożym Narodzeniem w 1914 roku. Maria miała wtedy osiemnaście lat.

Stała samotnie przed trumną, w której spoczywała matka. Lata cierpień i choroby zostawiły piętno na delikatnej cerze, jasnych włosach, które kiedyś tak błyszczwały i falowały. Każdego poranka i wieczora czesała je włosianą szczotką. Teraz okalały mizerną, białą twarz, zlewając się z białą płótna.

– Szare pakuły – pomyślała z żalem.

W powietrzu unosił się zapach świec i igliwia. Nad trumną wisiała naga choinka, lekko kołysząca się u powały. Cienie gałęzi wolno przesuwwały się po podłodze raz w jedną, to w drugą stronę.

Bezmyślnie śledziła ich drogę. Po raz pierwszy w życiu poczuła się naprawdę samotna. Myśli uciekały. Absurdalne zdania, najczęściej słowa kondolencji, które niedawno usłyszała, tłukły się jak mantra po głowie. Siebie czuła nierealnie. Odgłosy miasta dochodziły z oddali. Wydawało się jej, że przebywa na dnie wielkiej studni. Ostatnie dni i noce nie należały do łatwych. Czuwała, aby towarzyszyć matce w jej ostatniej drodze. Drodze na drugi brzeg. Na pastercie była w pobliskim kościele razem z koleżanką. Słuchając kołęd, popatrzyła na żebrowe sklepienie i szepnęła:

– Gienia, popatrz, święta, a tu pajęczyn nie omietli. – I tak rozśmieszyła ją ta sytuacja, że parsknęła śmiechem. Skryła twarz w futrzanym kołnierzu i chichotała. Łzy ciekły jej z oczu, a z wnętrza wypływała w chichocie cały ból, żal, strach. I nie potrafiła tego powstrzymać.

Takie były pierwsze dorosłe święta Maniusi. Została sama z nastoletnim bratem. Koledzy ojca pomogli i dostała pracę na dworcu kolejowym, tam, gdzie przed laty urzędował jej ojciec. Została panną telegrafistką.

Ostatnio, razem z moją przyjaciółką Elą, byliśmy na pogrzebie ojca koleżanki. Uroczystość pogrzebową prowadził bardzo mądry ksiądz. Jeszcze nigdy nie spotkałam się (oprócz słów Jana Pawła II) z takim „dobrym” podejściem do ludzi, życia i Boga. Dobroć i mądrość emanowała od niego. Nic nie uciekało, nie rozmywało się. Mówił o dobroci, którą dzieli się każdy człowiek z innymi, o darze największym – przyjaźni i miłości człowieka do człowieka. Każde słowo docierało do mnie niezamazane, nierozmyte. Nawet modlił się „ze zrozumieniem”. Nie klepał pacierzy, ale prawdziwie rozmawiał z Bogiem. Na koniec prosił o dar dla nieboszczyka taki, jaki każdy chciałby otrzymać na swoim pogrzebie: modlitwę, komunię, serdeczną myśl itd. Prosił też, aby każdy podziękował osobom żyjącym za dar wsparcia, dobroci, zrozumienia, miłości, uśmiechu, radości i innych wzbogacających nasze życie niematerialnych podarków, ofiarowanych nam przez innych. W tym momencie obydwie jednakowo zareagowałyśmy... I takie momenty w życiu są wspólnie. Parę dni później otrzymałam spóźniony prezent od innej mo-

jej koleżanki – książeczkę ze złotymi myślami na temat przyjaźni, z dedykacją; „dzięki za dar przyjaźni i za to, że jesteś”. Wzruszyła mnie bardzo. . . Tak rzadko mówimy ludziom: wzbogacasz moje życie swoim uśmiechem, optymizmem, swoją obecnością. . . Ale dość smutnych myśli. Wracam do wspomnień.

Panna Mania

Maria już parę lat bawiła się rolą panny telegrafistki. Polubiła tę pracę. Prócz przekazywania depeasz, zajmowała się wywieszaniem aktualnych rozkładów jazdy, wypisywaniem biletów. Lubiła odgłosy dworca. Obserwowała tłumy ludzi spieszących się na perony i wychodzących z przyjeżdżających pociągów.

Jak fale przyływu i odpływu – myślała o barwnych tłumach, przemieszczających się na terenie dworca. Czasem obserwowała poszczególne podróźnych i zastanawiała się nad tym, kim są, jakie prowadzą życie, czy są szczęśliwi.

Lubiła przestronne wnętrza dworca, wysokie sklepienia, obłożone ciemną boazerią wnętrza poczekalni. Nie przeszkadzała jej praca na dwie zmiany. Natura szybko wpasowała się w rytm „12 na 24”. Kiedy brała urlop i starała się wrócić do prawidłowego rytmu życia, nie potrafiła. Z książką w ręku spędzała noce, była senna we dnie.

Czas mijał. Praca dawała środek utrzymania, zadowolenie, a także możliwość bezpłatnego poruszania się po kraju. To lubiła najbardziej. Najczęściej jeździła do kuzynek w Przemyśle. Lubiła towarzyskie życie kuzynek, ciotkę, w której salonie często przewijały się ciekawe postaci. Były tam i tańczące wieczorki. Próbowano Maniusię wyswatać.

– Bój się Boga, Maniusiu, czyś ty zmysły postradała, że nie chcesz iść za mąż? – gderala ciotka Mela i zza okularów spoglądała na Marię. – Jak tak sobie na ciebie patrzę, to widzę, że całkiem wdałaś się w Waltera. Jemu też nigdy nie spieszyło się do żeniaczki. Nic dziwnego, że tak późno związał się z Anną. No, ale to był

w końcu mężczyzna. Przystojny mężczyzna. Szkoda, że tak szybko was osierocił!

Zza paska wyciągnęła haftowaną chusteczkę, dyskretnie wytarła oczy i pociągnęła wydatnym nosem.

– Widzisz, dziecko – Mela z dezaprobatą kręciła lekko głową, przenosząc spojrzenie z haftowanego właśnie obrusa na zniecierpliwioną Marię – kobieta, to co innego. Uroda mija szybko, posagu nie masz wielkiego, to i nie przebieraj. Już za parę latek i warkocz posiwieje, i skóra zwiędnie! „Nie przebieraj panno, abyś nie przebrała, abyś za kanarka, wróbla nie dostała” – zaśpiewała cienko.

– Cioteczko, przyjdzie czas na męża. Ja nie chcę starego. Nie będę mu prała, za przeproszeniem cioci, kalesonów i parzyła ziółek. A ciocia to tylko przedstawia mi samych łysych wdowców. Nic dziwnego, że Antosia zawsze mówiła: Maniu nie liź wałka, bo łysiego męża dostaniesz. Nie chciałam słuchać, to i mam za swoje – próbowała rozładować sytuację wicem. Do pokoju weszła kuzynka Hanka.

– Mamciu, Mania ma już swojego kandydata – roześmiała się.

– Nic dziwnego, że pana mecenasa odprawiła z kwitkiem, kiedy o innym myśli. Opowiedz, Maniusiu, swój dzisiejszy sen. Proszę cię bardzo pięknie. Niech mateczka też się pośmieje.

Marysia uśmiechnęła się na samo wspomnienie.

– Och, proszę cioci, to było wyborne. Niech sobie ciocia wyobrazi: jestem w kościele, niby przed ołtarzem. Mam kostium żółty, kapelusz zielony, czerwone buty i rękawiczki, amarantową woalkę. Istna papuga! Czekam na oblubieńca. Nagle wchodzi przystojny brunet. Ma wzrost średni, z jakiegoś metr siedemdziesiąt, siedemdziesiąt siedem może. Jest w ciemnym garniturze. W butonierce tkwi róża, a w ręku ma kule. Po prostu i n w a l i d a! Przykuśtykał pod ołtarz i mówi do mnie: „przysięgam tobie miłość do końca mych dni”. I obudziłam się! Ale twarz pamiętam. Widać nawet we śnie nie stać mnie na normalnego kandydata, tylko na inwalidę – zażartowała.